Śmierć prezydenta

Jerzy Eisler

fot. Filmoteka Narodowa

W Polsce często i chętnie lubimy prawić o naszej tradycyjnej – chciałoby się powiedzieć – odwiecznej tolerancji. Jakby przy okazji przypominamy, że Rzeczpospolita była państwem, w którym – w przeciwieństwie na przykład do Anglii czy Francji – nie było królobójstwa. Jest to oczywiście prawda. Chyba jednak zbyt łatwo zapominamy, że Gabriel Narutowicz, pierwszy w historii Polski prezydent, został zamordowany 16 grudnia 1922 roku – zaledwie w tydzień po wyborze na to najwyższe w państwie stanowisko. Od tamtych tragicznych wydarzeń, o których opowiada znakomity obraz Jerzego Kawalerowicza *Śmierć prezydenta*, mija właśnie dziewięćdziesiąt lat.

Pomysł na ten film zrodził się jeszcze w latach sześćdziesiątych, ale nie wydawało się realne, aby mógł zostać zrealizowany w Polsce kierowanej przez Władysława Gomułkę. Dopiero bowiem w końcowym okresie jego rządów, w 1968 roku – w związku z obchodzoną po raz pierwszy w PRL na szeroką skalę rocznicą (pięćdziesiątą) odzyskania przez Polskę niepodległości – zaczęto o II Rzeczypospolitej mówić w sposób mniej niż dotychczas schematyczny, tendencyjny i jednowymiarowy. Miało to w następnej dekadzie zaowocować sporą liczbą wartościowych prac naukowych, ale także ciekawymi filmami fabularnymi, których akcja rozgrywała się w okresie międzywojennym. Były to zrealizowane zwykle z ogromną troską o szczegóły melodramaty, komedie, kryminały, dramaty, filmy wojenne itd. Tytułem przykładu można tu wspomnieć filmy tak bardzo różne od siebie jak: *Zazdrość i medycyna*, *Hallo Szpicbródka*, *Sprawa Gorgonowej*, *Perła w koronie* czy *Romans Teresy Hennert*, *Tęsknota za niepodległością*.

Wydaje się, że – poza walorami artystycznymi – tym, co napędzało im widownię do kin, była żywa wśród wielu Polaków nostalgia za Polską niepodległą. Co ciekawe, owa tęsknota za „latami dwudziestymi, latami trzydziestymi" była obecna zarówno wśród wielu z tych, którzy pamiętali ten okres z autopsji (choćby z dzieciństwa), jak i wśród ludzi znacznie młodszych, wychowanych i ukształtowanych już po II wojnie światowej.

Marek Walczewski w roli Eligiusza Niewiadomskiego

Fot. Filmoteka Narodowa

Zapewne przede wszystkim z powodów cenzuralnych stosunkowo długo na liście filmów, których akcja rozgrywa się w latach II Rzeczypospolitej, brakowało obrazów o charakterze epickich fresków historycznych. Cechą charakterystyczną tego typu filmów było bowiem zawsze to, że – przy wykorzystaniu fizycznego podobieństwa poszczególnych aktorów do konkretnych postaci historycznych, dodatkowo wyostrzanego za sprawą kostiumów i charakteryzacji oraz oryginalnych tekstów zaczerpniętych z archiwalnych dokumentów, memuarystyki i listów – próbowały w sposób mniej lub bardziej udany rekonstruować ważne wydarzenia z przeszłości. *Śmierć prezydenta*, która miała premierę w październiku 1977 roku, była pierwszym i – dodajmy od razu – najlepszym tego rodzaju polskim filmem. Niedługo potem powstały dwa – tylko jednak do pewnego stopnia – podobne obrazy (również zrealizowane w kolorach), które miały swoje premiery wiosną 1981 roku. Były to: ukazujący walkę o odzyskanie przez Polskę niepodległości w 1918 roku *Polonia Restituta* w reżyserii Bohdana Poręby oraz opowiadający o genezie, przebiegu i konsekwencjach przewrotu majowego z 1926 roku, wyreżyserowany przez znanego aktora Ryszarda Filipskiego, *Zamach stanu*.

Autorzy obu filmów w chwili ich wprowadzania do kin łączeni byli dość powszechnie z nurtem „narodowo-komunistycznym", ale tylko w wypadku tego drugiego obrazu, który manipulował materiałem historycznym i wypaczał sens wydarzeń sprzed ponad pół wieku, miało to swoje przełożenie na ekranie. Być może wynikało to zresztą z faktu, że autorem scenariusza był – łączony z „partyzantami" – znany marcowy publicysta Ryszard Gontarz. Scenarzystą filmu Bohdana Poręby był zaś prof. Włodzimierz T. Kowalski, „nadworny historyk PRL".

Dobry scenariusz, świetni aktorzy

W wypadku *Śmierci prezydenta* scenariusz napisali wspólnie reżyser filmu Jerzy Kawalerowicz oraz wybitny krytyk filmowy i scenarzysta Bolesław Michałek. Na podkreślenie zasługuje fakt, że w sposób bardzo udany posłużyli się wielokrotnie w przeszłości wykorzystywanym schematem żywotów równoległych, czyniąc bohaterami narracji dwóch ludzi: prezydenta Gabriela Narutowicza oraz jego zabójcę Eligiusza Niewiadomskiego, których drogi przecięły się tylko na krótką, ale za to jakże ważną chwilę w czasie otwarcia wystawy w Zachęcie. Znakomitym pomysłem formalnym było uczynienie ich pewnym kontrapunktem dla narracji chronologicznej zeznań Niewiadomskiego, składanych po zabójstwie Gabriela Narutowicza. Jednocześnie było to nader trudnym zadaniem aktorskim dla odtwarzającego postać zamachowca Marka Walczewskiego, który prowadził ten swoisty monolog bezpośrednio do kamery, bez udziału osób trzecich. Aktor wspaniale ukazał przy tym szaleństwo i polityczny fanatyzm zamachowca.

W tytułową postać Narutowicza równie genialnie wcielił się Zdzisław Mrożewski, tworząc obraz prezydenta naszych marzeń: postawny, wysoki mężczyzna, a zarazem wrażliwy, delikatny człowiek o wysublimowanej kulturze, erudyta, humanista o przekonaniach liberalnych i demokratycznych, szanujący ludzi (także swoich politycznych przeciwników), człowiek dialogu i rozsądnego kompromisu, a przy tym wszystkim wielki uczony, światowej sławy specjalista w zakresie hydroelektrowni. O takiej głowie państwa w czasach PRL Polacy mogli co najwyżej śnić.

Fot. Filmoteka Narodowa

Trzecią kluczową postacią dramatu ukazaną w filmie jest marszałek Józef Piłsudski, znakomicie zagrany przez Jerzego Duszyńskiego. Chcę w tym miejscu zaznaczyć, że rolę Piłsudskiego w różnych filmach grali wybitni aktorzy: Ryszard Filipski, Daniel Olbrychski, Zbigniew Zapasiewicz czy Janusz Zakrzeński, ale – jak się wydaje – najlepiej uczynił to właśnie Duszyński. Scena, w której – w czasie gdy ulicami Warszawy ciągnął kondukt pogrzebowy prezydenta Rzeczypospolitej – Wielki Nieobecny stawia pasjansa, praktycznie od razu stała się klasyczną, na trwałe wchodząc do kanonu polskiego filmu historycznego.

Troska o najdrobniejsze szczegóły

Nawiasem mówiąc, sekwencja pogrzebu prezydenta Narutowicza do dziś imponuje rozmachem realizatorskim. Trudno powstrzymać się od refleksji, że prawdopodobnie – w czasach tak modnych obecnie komputerowych animacji – już nigdy czegoś takiego nie uda się nakręcić w Warszawie. Ze względu na mniejsze problemy z dezorganizacją ruchu ulicznego, zdjęcia w pobliżu pomnika Adama Mickiewicza zdecydowano się nakręcić w niedzielę. W prasie ukazało się ogłoszenie zapraszające chętnych do przyjścia w czarnych odświętnych ubraniach: w paltach, pelisach, płaszczach, ale nie, broń Boże, w ortalionowych kurtkach. Nie wiadomo dokładnie, ilu aktorów i statystów brało wówczas udział w zdjęciach, ale na pewno były to tysiące ludzi: odtwarzających członków rządu, episkopat, posłów, senatorów, generalicję, korpus dyplomatyczny, przedstawicieli partii politycznych, wreszcie zwykłych ludzi odprowadzających w ostatniej drodze do katedry św. Jana Chrzciciela prezydenta uosabiającego majestat Najjaśniejszej.

Zresztą troska twórców o różne, najdrobniejsze szczegóły była wręcz nieprawdopodobna. Najlepiej świadczy o niej ta oto historia. Otóż babka jednego z moich znajomych w czasie seansu w kinie zobaczyła… samą siebie, tyle że młodszą o 55 lat. Chodziło o to, że jako młoda dziewczyna była sekretarką czy też stenotypistką w sejmie. Na jednej z fotografii z 1922 roku została uchwycona przy pracy. Zdjęciem tym posłużyli się autorzy filmu, stylizując na ową urzędniczkę jedną ze statystek. Uczynili to przy tym niezwykle realistycznie, między innymi przypinając jej wierną kopię broszki, jaką przed laty miała na sobie babka mojego kolegi. Starsza pani, widząc tę jak gdyby ożywioną starą fotografię i rozpoznając „swoją" broszkę, po prostu zasłabła.

prof. dr hab. Jerzy Eisler – historyk, dyrektor Oddziału IPN w Warszawie; zajmuje się dziejami PRL, a także najnowszą historią Francji i historią kina; autor m.in. *Polski rok 1968* (2006), *„Polskie miesiące", czyli kryzys(y) w PRL* (2008)

Zdzisław Mrożewski w roli prezydenta Gabriela Narutowicza